Rok III. Nr. 127.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza drobnego (petit) po 8 centów, za każde następne „ 5 „ należytość stęplową 30 „ za każdorazowe umieszczenie

AFISZ TEATRALNY.

Rok 1874.

Wychodzi w Krakowie 4 razy w tygodniu w dniu przedstawienia teatralnego. Cena prenumeraty miesięcznej 50 c. Numer pojedynczy kosztuje 5 c. Prenumeratę przyjmują: Administracya *Czasu*, przy ulicy Różannej Nr. 413 i Kasa Teatralna.

Kraków 9 Maja.

Jutro **Życie paryzkie**, w abomencie.

ROZMAITOŚCI.

Panna Klara Ziegler, znana bohaterka scen niemieckich, po dłuższej niebezpiecznej słabości rozpoczęła na nowo występy. Robert, pierwszy kochanek teatru Laubego po jednorocznej chorobie wystąpił znowu w „Lwie zachochanym“ Ponsarda. Publiczność przyjęła go z entuzyazmem.

W teatrze paryzkim Gymnase robią przygotowania do wielkiego przedstawienia, z którego dochód użytym będzie na wzniesienie pomnika niedawno zmarłej a nieodżałowanej Desclée.

„Gille et Gillotin“ płód młodzieńczy słynnego Ambrois Thomas, mimowoli kompozytora, wystawiony został w operze paryzkiej i przyjęty z uniesieniem. Dyrekcya teatru Karola w Wiedniu wystawi go wkrótce.

Dzienniki wiedeńskie użalają się na skrzepły repertoar nadwornego teatru, dyrekcya zaś woła w niebogłosy do autorów o sztuki. Ci milczą, i głuche tylko krążą pogłoski, iż Wilbrandt nowy płodzi dramat, Mauthner najgrubszy a najlichszy z niemieckich autorów, poci się nad komedyą, Bauerfeld złamał pióro — tymczasem grają stare i wróblom nawet znane sztuczydła., w ostatnim czasie ulegając presyi dziennikarstwa zdobyto trzy jednoaktówki, które wkrótce ujrzą światło gazowe. Tytuły ich: Träume sind Schäme, Ein Sieg der Geschichte, der Räubmörder.

OBYDWAJ SMOLĄ.

Ciąg dalszy.

JUSTYNA. To być nie może. Leokadya posiada nadspodziewanie wiele taktu, chociaż z pozoru wydaje się lekkomyślną.

ALBIN. Wytłumaczę się pani natychmiast. Nie dawno temu wpadla mi w ręce.. ot tak... przypadkowo teczka Leokadyi na listy, w której oprócz bagatelek z panieńskich jeszcze czasów, znalazłem w jednym ze skrytych schowków kilka listów pani...

JUSTYNA. Z błędami, czy bez błędów? musiałeś je pan przeczytać

ALBIN. Co innego zajęło bardziej moją uwagę; był to list na różowym pisany papierze męzkim charakterem z datą 20 lipca, bez wyrażenia roku, miejsca i podpisu. Nie potrzebuję pani mówić, że było to oświadczenie miłości, gorące od frazesów zakochanego studenta lub szaleńca, tchnące mistycyzmem, które mi cały umysł zamglił. Dodać muszę, że na drugi dzień wybieraliśmy się na wieczór do ciotki Leokadyi, gdzie miano obchodzić imieniny. W liście ów anonym bałamucący mi żonę błagał ją, by na znak wzajemności wpięła białą różę we włosy, jeżeli będzie na imieninach obecną. Ten znak miał być hasłem wewnętrznej walki lub pokoju mej duszy, miał mi odkryć serce Leokadyi. Albo mię kocha, myślałem i z oburzeniem odtrąci śmiałka, lub nierozważnie zawiąże nitkę intrygi i miłostki z nieznajomym mi Don-Juanem. Wyczekiwałem gorączką trawiony jutra, drżałem z niepewności, tłumiłem w sobie okropne domysły, aż wreszcie chwila okropna się zbliża. Leokadya wychodzi z swej garderoby ubrana po balowemu z tym właściwym jej tylko gustem, patrzę...

JUSTYNA. I cóż?

ALBIN. Nie mogłem dojrzeć włosów, miała baszłyk na głowie.

JUSTYNA. Zdzierasz go pan zapewne że lazuą dło ią.

ALBIN. Broń Boże! Nie chciałem się zdradzić przed czasem. Wsiedliśmy do powozu, jedziemy ona nuciła jakiegoś walczyka, ja milcząc zagryzałem wargi; przyjeżdżamy wreszcie — tłum gości wita nas, wprowadza do salonu, na chwilę straciłem z oczu moją żonę, aż gdy wyszła z bocznego pokoju omal nie krzyknąłem z rozpaczy, gniewu i boleści, wyobraź pani sobie w jej włosach ujrzałem: dwie białe róże, aż dwie.

JUSTYNA. Cóż dalej?

ALBIN. Co dalej? Czyż to nie było do statecznem, aby zgruchotać cały mój spokój, moje szczęście wymarzone przed ślubem?!

JUSTYNA. Okropność!

ALBIN. Począłem śledzić każdy ruch mej żony, każdy uśmiech, chwytałem każde słówko, gest, aż wreszcie...

JUSTYNA. Znachodzisz pan rywala?

ALBIN. Niestety! Leokadya zdawała mi się dla wszystkich jednakową — wszystkich przecież posądzać nie mogłem. W tańcu wypadła jej jedna róża z włosów — tłum młodzieży rzucił się, aby ją podnieść — myślałem, że teraz odkryję właściwego przeciwnika, gdzie tam! zatrzymała się, wysunęła swą małą nóżkę widząc tylu zapaśników przed sobą i rozgniotła różę na posadzce, śmiejąc się jak zwykle. Wróciliśmy do domu. Ona znużona tańcem i zabawą. drzymiąca, senna, — ja.. ach! ja złamany cierpieniem, trawiony namiętnością. Na drugi dzień...

JUSTYNA. Wyprawiłeś pan żonie gwałtowną scenę?

ALBIN. Nie pani! nie mogłem. Leokadya jakby z przeczucia rozbrajała mię podwojoną odtąd czułością, zamykała mi usta pocałunkami, kiedy przez nie gwałtem cisnęły się słowa wyrzutu. Nie chciałem jej odkryć wnętrza mej duszy, chciałem wprzód jasno przeglądnąć tę sprawę, znaleźć więcej poszlaków, poznać tego niegodziwca, a wtedy...

JUSTYNA. Rozumiem, Rozumiem! Sztylety, trucizna, pistolety.

ALBIN. Pani bierzesz to w żartach, a ja płonę cały i trawię się bezustannie. Dzisiaj jestem już spokojniejszy, dzięki memu usposobieniu, ale wówczas omal nie przypłaciłem zdrowiem i życiem. Zacząłem sobie tę rzecz całą tłumaczyć, rozważać... chciałem ją nazwać przywidzeniem i zapomnieć, gdyby nie nowa pokusa, która miała być ostatnią, pokusa przejrzenia reszty listów schowanych w teczce. To mię dobiło... znalazłem.

JUSTYNA. Drugi list miłosny?

ALBIN. Nie pani; tym razem był to oddarty kawałek z brulionu listu pisanego do pani, z którego wyczytałem te słowa; „byłam wczoraj na imieninach kochana Justynku i dałam mą odpowiedź na jaką zasłużył. „To „mu“, to poufałe „mu“ bez bliższych komentarzy rzuciło mi promyk okropnej nadziei i roznieciło na nowo żar namiętnoćci we mnie. Leokadya nie mogłaby pisać tak do pani, gdyby wpierw nie była uwiadomiła panią kto jest ten „on“ Postanowiłem od pani dowiedzieć się o wszystkiem. Z gorączkowym pospiechem namówiłem Leokadyę do wyjazdu za granicę, chcąc tem do czasu zamaskować właściwy cel mojej podróży, a tym celem byłaś pani. W rękach pani leży zagadka mego szczęścia, błagam panią, nie zapieraj się. *(pokazując jej listy)* Oto są te dowody oskarżenia.., Postępowanie Leokadyi, jej łagodność, gotowość do wyjazdu zdziwiły mnie, zachwiały, nieco mam podejrzenia, nie mogłem przypuszczać, aby do tego stopnia była złą i udawała, nazwałem ją tylko lekkomyślną, dlatego że bez oporu, z całą obojętnością zgodziła się opuścić miejsce, gdzie kilka dni temu zbałamuciła jakiegoś szaleńca. W głowie mi się mąci, nie wiem jak o tem sądzić — pani, pani jedna możesz mi to wytłumaczyć. Co mi pani odpowiesz?

JUSTYNA. *wybucha gwałtownym śmiechem, uspokoiwszy się mówi z udaną powagą)* Odpowiem panu, że jesteś pożałowania godnym.

ALBIN. Do tego stopnia?

JUSTYNA. Niewdzięcznikiem, nieznośnym, podejrzliwym, okropnym niewdzięcznikiem, niegodnym miłości.

ALBIN. Co to znaczy? pani, nie pora do tych uwag... kto jest ten „on“ — kto jest ten człowiek, przez Boga, mów pani!.

JUSTYNA. Miałabym sposobność zemścić się na panu za nadużycie mej dziewczęcej łatwowierności. Kto jest ten „on“? albo ja wiem. Mówiłam panu przecież, że od półtora roku Leokadya nie pisała do mnie ani słówka.

ALBIN. Nie pisała? mówisz pani — to wybieg! Zaklinam panią — nie ukrywaj przedemną... *(oddając listy Justynie.)* Wszak te dowody przemawiają same...

JUSTYNA. *(przeglądnąwszy listy, udaje, jakby sobie coś przypomniała)* Ach! znam tę okropną historę.. *(śmieje się ukradkiem)* W istocie masz pan słuszność.

ALBIN. *(zrywając się)* Tak? wreszcie... dokończ pani, dokończ!

JUSTYNA. Mamże zdradzić tajemnicę przyjaźni?

ALBIN. Tu chodzi o spokój mego życia. Cokolwiekbądź zajdzie, jestem już przygotowany. *(zgwałtownością)* Oh! niewdzięczna! biada ci! kto jest ten nędnik?... mów pani teraz!

JUSTYNA. Pan się unosisz, boję się narazić człowieka...

ALBIN. Kto on jest? błagam panią, zaklinam... przeczuwam coś okropnego — o powiedz mi, kto on?

JUSTYNA. Mój mąż. *(dzwoni)*

ALBIN. Pani?!

(Cąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny *Anastazy Mastalski*. W drukarni L. Paszkowskiego w Krakowie. Rządca drukarni *Józef Łakociński*.

Z zawieszeniem abonamentu. Nr. porządkowy 127.

TEATR KRAKOWSKI.

W Sobotę dnia 9go Maja 1874 r.

Na dochód

Marceliny Ekerowej

Po raz pierwszy

PAN ALFONS

Komedya w 3 aktach z francuzkiego, Aleksandra Dumasa syna, członka akademji, tłumaczenie Stanisława Kremera.

OSOBY:

Montaiglin, kapitan okrętu — Pan Szymański.
Oktawiusz — — — — — Pan Dłużewski.
Rémy, marynarz — — — — Pan Siedlecki.
Dieudonné, dependent u notaryusza — — — — Pan Bogucki.
Pani de Montaiglin — — Pani Siennicka.
Pani Guichard — — — **Pani Ekerowa.**
Adrianna — — — — — — Panna Urbanowicz.

Rzecz dzieje się na wsi, za naszych czasów, u kapitana Montaiglin.

Początek o godzinie 7.